

SZPITAL RASZEI

Jednym z najdramatyczniejszych epizodów Poznańskiego Czerwca były walki wokół gmachu Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Kilkaset metrów od tego miejsca, u zbiegu ulic Mickiewicza i Poznańskiej, mieścił się Szpital im. Franciszka Raszei, do którego trafili pierwsi ranni. Lekarze i pielęgniarki nie szczędzili wysiłku i poświęcenia, aby przyjść z pomocą potrzebującym. Nie czują się bohaterami, spełniali swój obowiązek, ale chcą, aby pamięć o tamtych dramatycznych chwilach pozostała żywa.

Poniżej prezentujemy najciekawsze fragmenty rozmowy przeprowadzonej przez pracowników OBEP Poznań dr Annę Skupień i dr. Konrada Białeckiego z byłymi pracownikami szpitala. Spotkanie miało miejsce w domu Stefana Granatowicza, syna Józefa Granatowicza, ówczesnego dyrektora Szpitala im. F. Raszei w Poznaniu. Oprócz gospodarza w rozmowie uczestniczyli: córka dr. Granatowicza Anna Kałwińska, syn dr. Granatowicza Stefan Granatowicz, lekarze: prof. Henryk Karoń, dr Maciej Sikorski i Henryk Nyczke oraz pracownicy szpitala Barbara Gorczyca i Bogumił Kapelski.

Prowadzący – Dziękujemy, że skorzystali państwo z zaproszenia Instytutu Pamięci Narodowej. Porozmawiajmy o udziale personelu szpitala im. F. Raszei w wydarzeniach Poznańskiego Czerwca.

Henryk Karoń – [...] To, co się zdarzyło 28 czerwca, wisiało w powietrzu. Atmosfera sprzyjała takiemu wybuchowi. Okres stalinizmu już właściwie skończył się wraz ze śmiercią Stalina. Z każdym rokiem następowała coraz większa odwilż. [...] Właściwie, jak później rozmawialiśmy z wieloma ludźmi, to przedstawiciele władz partyjnych nie mogli w to uwierzyć. Nie mogli uwierzyć, że to robotnicy. Ideologia tak przesiąkła umysłami tych ludzi, że nie mogli zrozumieć, że robotnicy wyszli na ulicę i chcieli obalać władzę ludową. 28 czerwca ruszył tłum, pod Zamek, później do więzienia. [...] Ja byłem asystentem dyrektora [Józefa] Granatowicza. Takim zastępcą ordynatora. [...]

Stefan Granatowicz – Mój ojciec był dyrektorem szpitala im. Franciszka Raszei w ówczesnym czasie. Szpitala, który znajdował się w zasadzie w centrum wypadków czerwcowych [...]. Był także ordynatorem oddziału chirurgicznego w tym szpitalu.

Henryk Karoń – Operowaliśmy tych, którzy byli postrzeleni. I w pewnym momencie usłyszeliśmy niesamowity wrzask. Nie wiem, jak to określić, to było coś niewyobrażalnego. Tego nawet się nie widzi w filmach. Podeszliśmy do okna, a tam ulicą Poznańską szedł tłum. Zwarty tłum robotników, w robotniczych ubraniach, ale nie tylko. Również szli ludzie z miasta. Z przodu jechały dwa samochody, każdy z dwudziestoma ludźmi, ze sztandarami w rękę i śpiewali.

Maciej Sikorski – Byłem młodym lekarzem pracującym w Ośrodku Badawczo-Lecznym Chorób Zawodowych Wewnętrznych [...]. Siedzibę mieliśmy od strony

Poznańskiej w gmachu szpitala Raszei. [...] Widziałem ze swoich okien. Jadą, wrzaski, krzyki, ale nie tłumy, tylko dwa samochody ze śpiewem [...]. Wyskoczyłem. [...] Od strony Mickiewicza padły pierwsze strzały [...] I zaczęło się. Nie było wtedy jeszcze żadnych dużych tłumów, nie było żadnych sensacji. [...] Już wtedy zaczął interweniować dyrektor szpitala. Po prostu pierwszą rzeczą, jaką zrobił, to zamknął drzwi wejściowe. [...] Zrobił naradę. Zaczęliśmy się zajmować przygotowaniami [...] Potem pierwszych chorych znosili. [...] Tam nie było indywidualnych bohaterów. Tam był dobry organizator dyrektor i pracujący zespół [...].

Henryk Nyczke – [...] Pierwsze, co mi utkwiło w pamięci, to, że przyjechały trzy czołgi [...] koło godziny 11.00 [...] jeden stanął na ulicy Mickiewicza [...]. Wyszedł porucznik i mówi przerażony, że wezwali ich, i mają przyjechać czołgami. Naturalnie młodzież od razu zawładnęła tym czołgiem, a całe strzelanie polegało na tym, że jeden wlał, kręcił korbą, a drugi wisiał na lufie i kręcił się wkoło.

Henryk Karoń – Uzupełnię to. [...] Gdy przybyło wojsko, otoczyło ten czołg. Z niego wyszedł młody chłopak i żołnierz wbił mu bagnet w brzuch. I ciągnął. On się nazywał Marian Kubiak. Miał 16 lat. [...] Operowaliśmy go. Później rozmawiałem z jego matką. [...] Miał porozrywane jelita, krwawiące. Zmarł po paru godzinach.

Maciej Sikorski – Jedno z pierwszych zarządzeń, jakie wydał dyrektor, było takie, że personel miał zostać w szpitalu, nie wychodzić na zewnątrz. Każdy miał iść do swojej roboty. Chirurdzy poszli na sale operacyjne.

Bogumił Kapelski – W tym czasie byłem szefem kadr. I tak jak tutaj kolega Sikorski powiedział, jak zaczęły się te rozruchy, dyrektor Granatowicz zrobił odprawę z wszystkimi ordynatorami, poszczególnymi kierownikami działów i powiedział tak: „Moi panowie, jesteśmy pracownikami służby zdrowia. Proszę Was bardzo, żeby nikt z Was ani nikt z personelu nie opuszczał szpitala [...]”.

Barbara Gorczyca – [...] Byłam wtedy kierownikiem laboratorium. Idąc do pracy, włączyłam się w ten tłum, ponieważ mieszkałam na Wildzie. Akurat jak wyszłam z domu, widzę, że idzie. Nie wiedziałam, co się dzieje, więc musiałam iść z tym tłumem. Wszystkie tramwaje stały. No i tak szłam z tłumem ulicą Przemysławą [...]. Później [...] jedni poszli w stronę Dworca na Most Dworcowy, a ja szłam dalej Towarową, bo było mi najbliżej. Część szła w stronę Zamku ulicą Wieniawskiego. Strasznie się bałam, chociaż wtedy oczywiście nie było jeszcze strzałów. Nie wiedziałam, co tu się dzieje. Śpiewy, jakieś wołania. Dotarłam w końcu ul. Roosevelta do szpitala. Oczywiście spóźniłam się. No i rozpoczęła się normalna praca, właściwie miała rozpocząć się normalna praca. [...] Dyr. Granatowicz wydał zarządzenie, że wszyscy mają pozostać na stanowisku pracy, nie wolno nam wychodzić, nie wolno podchodzić do okien, stawać przy oknach. Z naszych okien był dobry widok na Ubezpieczalnię, która znajdowała się na Dąbrowskiego [...].

Prowadzący – **Niemal w każdej z państwa wypowiedzi przewija się postać dyrektora Józefa Granatowicza. Czy zechcieliby państwo powiedzieć, jak zapamiętaliście dyrektora i jaka była jego postawa wobec wydarzeń czerwcowych?**

Anna Kałwińska – Jestem córką doktora Granatowicza, byłego dyrektora i założyciela szpitala Raszei. Wówczas gdy były wypadki poznańskie, byłam licealistką, ale na tyle świadomą, że zdawałam sobie doskonale sprawę z powagi chwili i z tego,



Szpital im. Franciszka Raszei

jaką rolę odgrywa mój ojciec [...] człowiek, który miał bardzo dużą charyzmę, był świetnym lekarzem, wspaniałym patriotą, a dla nas prywatnie cudownym ojcem.

Stefan Granatowicz – Jak w 1953 r. zmarł Stalin, to odbyła się [w szpitalu] słynna akademia, ojciec musiał wygłosić przemówienie i powiedział dokładnie tak: „Proszę Państwa, zmarł Generalissimus Stalin. Wszyscy z Państwa wiedzą, wszyscy Polacy wiedzą, kim był i co dla Polski zrobił, a więc uczcijmy to minutą ciszy”. [...] Każdy wiedział, co dla Polski zrobił Stalin.

Prowadzący – I co ma czcić.

[...]

Prowadzący – Jaki był stosunek dyrektora Granatowicza i dyrekcji szpitala do tego, co się działo na ulicach Poznania? Jakie były reakcje personelu medycznego: lekarzy, pielęgniarek?

Stefan Granatowicz – Stosunek ojca do wydarzeń był absolutnie jednoznaczny. Ojciec był zdecydowanie przeciwnikiem ówczesnego ustroju [...]. Dziennikarzom, którzy wówczas przyszli do szpitala, udzielił pierwszych informacji o tym, co się w Poznaniu stało. Pierwsze informacje, które dotarły na Zachód, były właśnie z tego źródła [...]. Podkreślał niejednokrotnie, że ma wyjątkową załogę, wyjątkowy zespół, że cały zespół bardzo ofiarnie pracował, dzięki właśnie temu zaangażowaniu i patriotyzmowi nikt w zasadzie [z pracowników szpitala] nie został aresztowany.

Henryk Karoń – Trzeba połączyć personel szpitala i to, co się działo na zewnątrz. Od ulicy Mickiewicza przyniesiono na noszach rannego żołnierza. Żołnierz w stosunku do robotników wygrażał pięścią i wołał: „moje chłopaki się zemszczą na was”.

Maciej Sikorski – Nie! Wołał: „Pomścijcie mnie”.

Henryk Karoń – Coś w tym stylu, i nie tylko to.

Maciej Sikorski – Wrzeszczał cały czas, a był prawie bez nogi.

Henryk Karoń – W pewnej chwili musiałem interweniować, żeby nie doszło do linczu. [...] Później wysłaliśmy go do szpitala wojskowego. Takie były nastroje, że mogło dojść do linczu.

Prowadzący – **Czy rzeczywista liczba rannych jest większa od tej, którą można ustalić na podstawie księgi przyjęć?**

Stefan Granatowicz – Na pewno tak.

Bogumił Kapelski – Na pewno tak. [...] Ja nie byłem na żadnych odprawach, ale przychodziły zarządzenia. Trzeba było rejestrować. Wtedy wiedzieliśmy, że nie trzeba, po co. „Zajmijcie się przede wszystkim udzieleniem pomocy”, mówił dyrektor. Żadnych dowodów. Zresztą tak dużo rannych przeszło, że nie było czasu.

[...]

Henryk Karoń – Nikt o tym nie myślał.

Maciej Sikorski – Był taki student z Politechniki. Miał przestrzelony przywodziciel kciuka. Głupstwo zupełne, nie wzywałem chirurga, sam opatrzyłem. Zauważyłem, że wystaje mu zza pasa pistolet. Mówię: „Chłopie, wyrzuć ten pistolet, po czorta, z kim ty chcesz wojować, mało tutaj jest biedy”. Posłuchał mnie, wyrzucił. Został u nas na dole, bo kogo mogliśmy zatrzymać, to zatrzymywaliśmy na dole, tam w naszej przychodni, w podziemiach szpitala. Został i na tym się skończyło. Zapomniałem o wydarzeniu. Miesiąc czy dwa miesiące później ktoś przychodzi, przynosi mi różę, mówi: dziękuję. Nie wiedziałem, o co chodzi. Przypomniał mi. Jeden jedyny, który wrócił, powiedział: dziękuję i różę jeszcze przyniósł.

Bardzo dużo chorych nie było rejestrowanych. Jak można było kogoś wyrzucać, to się wyrzucało. „Uciekaj jak najdalej” – mówiło się albo chowało się po kątach, żeby zostać.

Prowadzący – **Jakie były nastroje w szpitalu, komentarze, gdy już wiadomo było, co się dzieje w mieście?**

Maciej Sikorski – Każdy miał swoje zdanie. Tego nie można tak podsumować.

Prowadzący – **Czy państwo w szpitalu spodziewali się, że może dojść do tak krwawych wydarzeń?**

Barbara Gorczyca – Nikt się niczego nie spodziewał. A jak pierwszych rannych przyniesiono, to po prostu każdy się wziął za to, co miał robić. [...] Nie było masówek na temat poglądów politycznych i zachowań.

Maciej Sikorski – Oczywiście rozmawialiśmy. Byliśmy przez trzy doby w szpitalu. Trzeba było rozmawiać. Nie było co palić. Nie było co jeść. Dyrektor zresztą zarządził, że przede wszystkim dostaną chorzy. Personel, lekarze, nikt się nie buntował. Wszyscy robili swoje. [...] Myśmy pracowali. Nikt nie robił z siebie ani bohatera, ani ofiary. Po prostu robiliśmy swoje.

Henryk Karoń – [...] W godzinach popołudniowych do Poznania wkroczyły regularne oddziały wojska. Grupa żołnierzy w pełnym rynsztunku bojowym wkroczyła również na teren szpitala. Rozmawialiśmy z nimi. I to było coś przerażającego, trzech żołnierzy, młodych, zdrowych, dojrzałych ludzi opowiadało między sobą, że to wszystko to robota agentów imperialistycznych, londyńskich sługusów i Wolnej Europy [...].

Bogumił Kapelski – Następnego dnia przyszedłem do szpitala i widzę, że od strony Zacisza stoi czołg i grupa żołnierzy, którzy przybyli z Międzyrzecza. Weszli do szpitala.

Prowadzący – Czy oni weszli do szpitala w jakimś konkretnym celu?

Henryk Karoń – Nie, chodzili po podwórzu i weszli. Był z nimi oficer. Wyszedłem w białym kitlu i przysłuchuję się, co on przekazuje tym żołnierzom. Stwierdziłem, że to był politruk. Mówi: „słuchajcie, tutaj z tego drzewa anglo-amerykańscy imperialiści strzelali i z tego okna” i wciąż podkreśla: ci anglo-amerykańscy imperialiści. No więc mnie to rozśmieszyło. Trzech żołnierzy stało z boku: dwóch kaprali, jeden starszy żołnierz. Poprosiłem, żeby podeszli do mnie: „Pokażę wam tych anglo-amerykańskich imperialistów”. Poprowadziłem ich do kostnicy. Prowadzę ich do



kostnicy. [...] Żołnierze podeszli, spojrzeli, odeszli na bok i się popłakali. Po prostu łąy im ciekły, zdjęli czapki i odeszli. To był dla mnie wstrząsający moment. Wstrząsający. I nie było żadnej dyskusji. Nic do nich więcej nie powiedziałem, oni nic nie odpowiedzieli, tylko łąy im się pokulały, otarli łąy i odeszli.

Bogumił Kapelski – Druga wstrząsająca rzecz [...]. Kupa ludzi i biją jakiegoś osobnika. Biją, ale nie wiem, o co chodzi. Z ciekawości pobiegłem tam. Zbliżam się, a tam krzyk: „Zabić go łotra, ubowca” i przekleństwa. [...] Masakrują tego człowieka. Pierwszego tak zmasakrowanego człowieka widziałem w 1939 r. Wpadam, krzyczę, żeby go nie bili, ale tłum nie reaguje. Wycofałem się, wpadam do szpitala. Spotkałem lekarza: „Doktorze, tam zabijają jakiegoś człowieka”. [...] Przyleciał, wszedł w ten tłum: „Proszę się rozstąpić, jestem lekarzem, udzielam mu pomocy”. Tłum się rozstąpił [...].

Prowadzący – Wśród rannych z jednej strony byli robotnicy, z drugiej strony funkcjonariusze. Zrozumiałe jest, że z punktu medycznego nie miało to znaczenia dla lekarzy, kogo opatrują i ratują. Czy reakcje lub komentarze personelu były różne w stosunku do rannych robotników i funkcjonariuszy?

Bogumił Kapelski – Nie było różnicy.

Henryk Karoń – Otrzymaliśmy wiadomość z UB, że jest wśród nich kilku rannych, którzy krwawią i proszą o pomoc. Karetka odmówiła przyjazdu, dlatego że strzelanina była duża. Lekarz jest neutralny, nie rozróżnia chorych pod względem ideologii. Poszliśmy z doktorem Śliwińskim i z pielęgniarką [...] do UB, wokół właśnie była strzelanina. Wejście do budynku przedstawiało niesamowity widok. Przypominało to

sceny z Dzikiego Zachodu. Pełno ludzi przy oknach, kilkunastu z gotowymi pistoletami, karabinami. Zmęczeni, jedni siedzieli pod ścianami, drudzy na schodach. Widać było głębokie napięcie i przerażenie. Oni właściwie zdawali sobie sprawę, że gdyby tu ktoś wdarł się do środka, to byłaby masakra. Bronili własnego życia, tak trzeba powiedzieć [...]. Na korytarzach było pełno cywilów, właściwie rodziny i żony, dzieci i tam słychać było tylko płacz, jęki dzieci. To wszystko było już w godzinach popołudniowych, tam nie było ani jedzenia ani picia. Wszystko leżało i jęczało [...].

Prowadzący – Czy rozmawiali państwo z osobami w budynku? Czy padło pytanie o to, kto pierwszy strzelał?

Henryk Karoń – [...] O tym nie mogło być mowy. Taka sytuacja nie mogła się zdarzyć. Myśmy przyszedli po rannego krwawiącego. Kto by się pytał o cokolwiek? Żołnierze powiedzieli tylko, że są ze Śląska, że po drodze powiedziano im, że w Poznaniu wybuchły rozruchy proniemieckie. I oni tu przybyli bronić niepodległości Polski [...]. Prawdopodobnie pierwszy strzał padł z UB, i to ze strachu. Tak przynajmniej mówiła nam tramwajarka, która pierwsza została ranna. Mówiła: „myśmy tylko jechali i śpiewali”. A podjeżdżali z ul. Poznańskiej, już chcieli skręcać w Kochanowskiego, wtedy padł ten strzał.

Prowadzący – To nie było jedyne wyjście ze szpitala? Osoby z personelu wychodziły i przynosiły rannych.

Maciej Sikorski – Ludzie sami przynosili rannych. Przede wszystkim dużo było wolontariuszy, którzy przychodzili i prosili: „My chcemy pomóc”, dawało im się nosze i lecieli po rannych.

Bogumił Kapelski – Byłem świadkiem, jak faktycznie [...] młodzież z ulicy, dziewczyny i młodzieńcy, przychodzili do szpitala pytać, czy mogą pomóc w czymkolwiek.

Henryk Karoń – O czwartej rano też poszedłem, czołgi stały na ulicy, po jednej i po drugiej stronie. Nie pamiętam już, czy sam czy z kimś. W górę ul. Mickiewicza i to był niesamowity widok. Drzewa leżały po ostrzeleniu. Tramwaje przewrócone, gałęzie pokrywały chodniki. Framugi okienne wisiały w powietrzu. Oni z tych czołgów strzelali tak jak w czasie wojny [...]. Kilka dni trwało usuwanie skutków.

Maciej Sikorski – Wyszedłem ze szpitala. Była informacja, że ranny leży na ulicy. Doszliśmy tylko do połowy Krasińskiego. Ja się tego nie wstydzę. Wydawało mi się, że jestem wielkim bohaterem. Figę, jak zaczęły świstać kule, klapnęło o ścianę, to po prostu zwaliśmy z kolegą. Normalnie zwaliśmy, nie wzięliśmy nawet leżącego na ulicy człowieka. Stała tam młoda sanitariuszka. [...] Ona go przyniosła. I to była jedyna według mnie bohaterka.

Prowadzący – Jaka była reakcja ulicy na personel medyczny?

Henryk Karoń – Stosunek do służby zdrowia był życzliwy. [...] Jak myśmy tych krwawiących ludzi wyprowadzali, to tłum gwizdał, ale nie na nas, tylko z radości, że jakiegoś żołnierza trafiło.

Prowadzący – Jakie były nastroje wśród rannych, chodzi oczywiście o tych lżej rannych, którzy mogli się ze sobą porozumiewać?

Henryk Karoń – [...] Nie było żadnych rozmów, nie było. Oni byli wszyscy też wystraszeni, nie wiedzieli, co z nimi będzie [...].

Maciej Sikorski – Tam nie było żadnych dyskusji. Ani między personelem, ani między rannymi. Robiło się swoje i koniec [...].

Prowadzący – W tych gorących momentach, jak państwo już wspominali, nie było czasu, aby rozmawiać czy komentować to, co się dzieje, ale po powrocie do domów rozmawiali państwo ze swoimi rodzinami. Czy pamiętają państwo swoje reakcje i emocje po powrocie do domu? Co przekazywaliście swoim najbliższym?

[...]

Bogumił Kapelski – Byliśmy ogłupieni.

Henryk Karoń – Nie da się odtworzyć rozmowy. Byliśmy bardzo przejęci.

Maciej Sikorski – Przede wszystkim jak wyszliśmy, to byliśmy cholernie głodni.

Stefan Granatowicz – Myśmy byli szczęśliwi, że ojciec wrócił do domu.

Barbara Gorczyca – I spać się chciało. Bo się mało spało.

Stefan Granatowicz – [...] Każdy mimo wszystko miał nadzieję, że coś zaświtało. Mimo wszystko. Takie były odczucia wszystkich. Pomimo tego zmęczenia, niebezpieczeństwa, tego wszystkiego, co się wydarzyło. Każdy z nas zdawał sobie sprawę, że był to okres szaleni niebezpieczny. [...] Ojciec też zdawał sobie sprawę, że UB chodziło do szpitala, że będzie inwigilować, będzie sprawdzać, będzie domagało się listy rannych, których się nie rejestrowało. Przecież każdy z tych lekarzy, każdy za to odpowiadał.

Prowadzący – Czy doktor Granatowicz opowiadał o kontaktach z władzami, o rozmowach przeprowadzanych z nim po wydarzeniach czerwcowych?

[...]

Stefan Granatowicz – Mówił [...]. Był wielokrotnie wzywany do Urzędu Bezpieczeństwa i musiał zdawać sprawozdania z działalności szpitala w tym okresie, m.in. dlatego nie rejestrowano wszystkich rannych. Tłumaczył, że w zasadzie był to okres wojenny i była masa rannych, trzeba było ratować rannych, a nie zajmować się sprawami papierkowymi, administracyjnymi. Na to nikt nie miał czasu. Zresztą nie tylko Ojciec był wzywany. UB przychodziło też do szpitala [...].

Bogumił Kapelski – Na drugi dzień wpada do mnie dwóch milicjantów z Jezyc. Pytali, kto brał u nas udział w wypadkach poznańskich. A ja mówię: „O co wam chodzi?” „No bo k... aresztujemy ich wszystkich i tak dostaną w dupę, że im się odechce wszystkiego”. Dosłownie, przepraszam za wyrażenie. Wyjątkowo byłem opanowany. [...] Mówię: „słuchajcie, jak tylko to się zaczęło, dyrektor Granatowicz zrobił odprawę i powiedział to i to. I nikt z naszego personelu nie wyszedł na ulicę”. I koniec. Była sprawa załatwiona.

Maciej Sikorski – [...] Dr Granatowicz był spokojny, mało mówny i zdecydowany. Nie zachowywał się tak jak bohater narodowy, z wypiętą piersią. Tylko chodził i sprawdzał, czy działa, czy dobrze, co z jedzeniem, a że już kuchnia nie będzie miała jedzenia [...]. Zachowywał się najnormalniej w świecie, jak powinien przyzwoity przede wszystkim lekarz i człowiek. I świetny organizator. [...]

Prowadzący – Dziękujemy państwu serdecznie za przyjęcie naszego zaproszenia i rozmowę.